

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

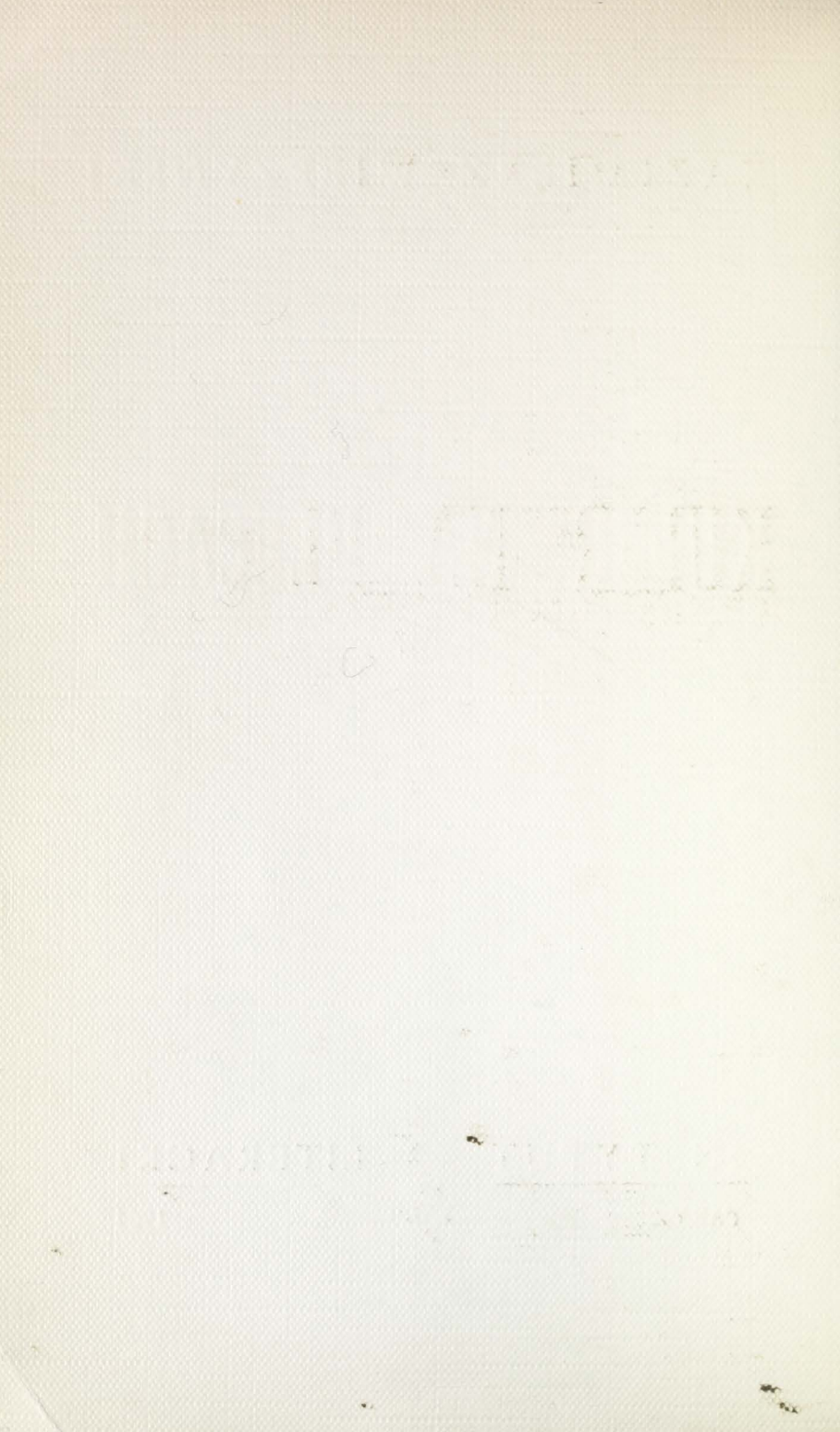
INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

WYDAWCA
KSIĘGARNIA

WARSZAWA 1973

KUFER NA PLECACH

17724 101

WYDAWCA
KSIĘGARNIA

WARSZAWA 1973

WYDAWCA
KSIĘGARNIA

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom XCVII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964



30001013955524

11.1.201.334



TEGOŻ AUTORA

- Wiosna i wino*, J. Mortkowicz, Warszawa 1919
Wróble na dachu, W. Czarski i S-ka, Warszawa 1921
Wielka Niedźwiedzica, Ignis, Warszawa 1923
Pamiętnik miłości, Ignis, Warszawa 1925
Laur olimpijski, J. Mortkowicz, Warszawa 1927
Rozmowa z puszcza, J. Mortkowicz, Warszawa 1929
Pieśni fanatyczne, J. Mortkowicz, Warszawa 1929
Utwory zebrane, J. Przeworski, Warszawa 1929
Granice świata, Gebethner i Wolff, Warszawa 1933
Gorzki urodzaj, J. Mortkowicz, Warszawa 1933
Wolność tragiczna, Książnica-Atlas, Warszawa 1936; Bibl. Orła Białego, Rzym 1945
W garderobie duchów, Książnica-Atlas, Warszawa 1938
Wiersze wybrane, J. Mortkowicz, Warszawa 1938
Kurhany, J. Mortkowicz, Warszawa 1938
O Bolesławie Leśmianie, J. Mortkowicz, Warszawa 1939
Barbakan warszawski, S. Tyszkiewicz, Nicea 1940
Ziemia wilczyca, M.I.Kolin, Londyn 1941; „Kurier Polski”, Buenos Aires 1941; Bibl. Orła Białego, Rzym 1945
Róża wiatrów, Rój, Nowy Jork 1942; „W drodze”, Jerozolima 1944
Współczesna literatura polska na emigracji, Rój, Nowy Jork 1943
Ballada o Churchillu, Rój, Nowy Jork 1944
Pobojowisko, Rój, Nowy Jork 1945
Podzwonne za kaprala Szczapę, Rój, Nowy Jork 1945
Krzyże i miecze, Biblioteka Polska, Nowy Jork 1946; Stow. pisarzy polskich, Londyn 1946
Korzec maku, Veritas, Londyn 1951
Życie Chopina, Rój, Nowy Jork 1953
Siedem podków, Rój, Nowy Jork 1954
Poezje zebrane, „Wiadomości” (Londyn) i Polski Instytut Naukowy (Nowy Jork) 1959
Tkanka ziemi, Instytut Literacki, Paryż 1960

1977 W 598/12

JEDNO SŁOWO

Wiele słów, mało
Czy najmniej
To nie gra roli:
Niech będzie jedno
Byle zaskowyczało
Tak
Jak naprawdę boli.

Nad rozpaczą bezsłownych,
Nad skazaniem oniemiałych,
Nad milczeniem grobowym
Niech zaskowyczy
Za wszystkich i za mnie,
To najmniej
Co może być
Słowem.

W Y N A J M Ę S I Ę

Wynajmę się za białą laskę,
Znam drogę, towarzysze.

Wynajmę się za świętego Mikołaja przed sklepem,
Sprzedacie najwięcej.

Wynajmę się za krajobraz szwajcarski,
Wypełnię całe okno wystawowe.

Wynajmę się za noc nad światem,
Jestem pełen doskonałej ciemności
I mijam.

ALIBI

Kłóczę się z długą jak życie powieścią
O smutku, radości i nędzy:
Wiersze to wyścig ze śmiercią,
Kto prędej, kto prędej.

Więc śpieszmy się, słowo ospałe,
Z pułapczej wydobyć się matni.
Widzę już.
Sąd ostateczny.
Wszyscy przybyli.
Każdy niesie alibi.
Ja — ostatni.

ZUZANNA CZYLI POEZJA

Moi panowie,
Kąpię się tylko dla siebie,
Nurkuję prosto jak ptak Brancusiego,
Z dna się odbijam w niebieską górę,
Oszkloną windą na wieży Eiffła
Płynę przez własną skórę.

Nie uda wam się podglądnąć nic
Z rozwarcia moich piersi i ramion,
Mój ręcznik więcej wie niż wasza rozpusta,
Bliższa miłości moja koszula
Niż wasze tłuste
Brodawe usta.

Piękno samo dla siebie,
Miłość sama dla siebie,
I dopiero gdy mnie przewrotność wasza omota,
Czuję że nagość moja,
Skóra, piersi i ręcznik
To święta cnota.

R Z E C Z O W N I K

Podmiot i przedmiot
Ciężar i kolor
Sens pracowity
Jak plaster miodu

W zamkniętym kręgu
Ulepić komory
Miód fabrykować
Rzeczownik pszczoły

Kiedyś mówiono
Miód dobry na serce
Na sen i na spokój
Rzeczownik matka

Potem wstawiono
Ul szklany w okno
Dla obserwacji
Rzeczownik wiedza

Wszystko zbadano
Za dnia i w nocy
Zimą i latem
Rzeczownik przyroda

I ekonomia
I rozwój pszczelnictwa
I bilans handlowy
Rzeczownik dolar

A ja wciąż myślę
Co tu ludzkiego
Co najważniejsze
W tym wielkim kręgu

I z całej mowy
Wybieram jeden
Rzeczownik matka
Jak pszczoły królowę.

U S T A I O C Z Y

Pisałem już: „usta ustawiczne”
I nikt nie dosłyszał.
Więc co?
Mam krzyczeć, że cucę omdlałe kamienie,
Że to są irygacje pustynnych słów,
Że Kastylia pokrywa się ogrodami Andaluzji
A Florencję wkładam do flakonu
I wnoszę do pokoju na jesień?

Oszukała nas logika,
Umęczyła etymologia,
A młodość jak chłopska głodna koza
Szarpie się ogłupiała na sznurze,
Biega dokoła wyskubanego dziedzica
I gryzie kalosz.

Ja chcę aby tam rosły cyklameny
Albo zagony narcyzów jak w Les Avants
I jeśli napiszę: „oczy oksydowane”
Aby oznaczało to miłość.

M E L O D R A M A T

Przyleciały sowy,
Mądre sowy
Jeszcze przed końcem powieści:
Czemu się wszyscy w niej męczą,
Mówią sobie gorzkie słowa
I zabijają miłość?

Ale na nic nie było już czasu,
Na ostatniej stronie napisano: koniec,
Więc poleciały w pole polować
Na myszy i młode zające,
I dziwiły się czemu
Za domem w trawie
Leży ktoś twarzą do ziemi
W czerwonej kałuży
A nie na poduszce.

Mądre sowy,
Wszystko wiedzące.

PUSZCZA

Biły się dwa jelenie,
Splątały się rogami,
Rozszczepić się nie mogli,
Szarpały się, bodły,
Aż zwały się z nóg
I upadły bez sił.

Mrówki włożyły im w nozdrza i w oczy,
Jadły je powoli,
Oczyściły do białej kości.
Teraz leżą cztery splątane rogi
I dwa spłaszczone łby
W zaroślach.

Ale jaka to musiała być miłość!

RYSUNEK LEONOR FINI

Dwa ptaki w locie
Zbite w kłęb
I tylko pisk miłosny, jęk
W powietrzu tryskiem błyskawicznym pękł,
I zatoczyli się kochankowie
W pierzastym kurzu, głowa przy głowie,
Skrzydło na skrzydle, miłość w miłości,
Pionową strzałą w dół zestrzeleni
I tak powikłani i pomieszani,
Że nic już nie widać tylko nogi,
Cztery splątane ludzkie nogi
Z ptasimi stopami.

K O N C E R T

Uszy, nie chodźcie do filharmonii,
Zostańcie w sypialni,
Instrumenty miłości:
Waltornie i flety,
Szepty i krzyki perkusji.

Prosiłem ich długo i nadaremnie,
Wszystkie wybiegły z domu,
Leda i wiolonczela,
Mozart i menuet,
I odbył się koncert
Pod przygaszonym żyrandolem.

Leżałem w domu sam,
Czytałem partyturę sufitu,
Rozpamiętywałem każdy szelest
W mojej wydoskonalonej
Akustyce osamotnienia.

Filharmonia huczała od braw,
Kryształowy żyrandol zabłysnął,
I zaczęli wychodzić
Do drzwi, na mróz.

Dopiero po północy
Usłyszałem szelest klucza w zamku
I wróciły instrumenty na swoje miejsce,
Do zachwyconych uszu,
Wieści miłosne.

D W U N A S T A

Wybiegła w nocnej koszuli Dwunasta
Tak jak spała:
Gdzie są duchy i widma,
Lustra spadające ze ścian,
Koniec świata —
Krzyczy i biegnie
Przez środek miasta.

A za rogiem stoję ja,
Z pałką, herszt huliganów,
Postrach dzielnicy:
Dostaniesz teraz łeb,
W łeb kołtuniasty,
Pięć minut po dwunastej
I po czarownicy.

Powlecemy cię do komisariatu,
Przesuniemy o pięć minut zegarek,
Policjanci kłuc będą zarośla
Sztyletami elektrycznych latarek.

LEŚMIAN W ZIMIE

Liściasty, drzewiasty,
Zarośliniony,
Cóż oni wiedzą o tobie,
Któryś niewinny w świecie zamętu
Zaniemówił do szczętu
I położyli cię w grobie.

Teraz jest zima
Srebrno niebieska,
Śpizimek motyla trzyma
W czterech zabitych deskach.

Sto ust było w liściach,
Tysiące w trawie
I w kwiatach,
Wszystkie twoje niebyty
Przebyłeś tam nieprzebyty,
Pomyślany w zaświatach.

Tam się te rzeczy zaczęły,
Tam się skończyły
Tam trwają i będą trwały:
Leżysz przykryty zimą,
Niewinny,
Śniegiem ogrzany,
W śnie uleżały,
Aż wróci liściasta,
Drzewiasta wiosna
Do wielkiej roślinnej
Chwały.

EMILY DICKINSON

Szuflady pełne wierszy
I pełne wierszy kieszenie,
Tylko przed nim drzwi zamknięte do domu,
Tak lata minęły,
Tak mijają jesienie
Pół-żartem,
Pół-po-kryjomu.

Zabija go piórem,
Igłą cieniutką,
Jak lekarz nieuleczalnych
Dokładnie, powolutku —
Aż postarzeją się oczy,
Aż serce z żył się wytoczy
Ostatnią kroplą smutku.

Zabija go, truje
W małych dozach,
Łyzeczką od herbaty,
Pamięta by zapominać
Co dzień, co noc nieustannie,
I tak przez lata
I przez jesienie

La dolce vita w przedśmiertnej
Samotnej kwarantannie.

Aż zamknie drzwi w domu
Przed sobą,
Aż się zapelnia szuflady, kieszenie,
Serce i życie
Pół-żartem
I ciężką żałobą.

O B R A Z

Pamięci Stefanii Zahorskiej

Był obraz na żółtym, napiętym płótnie,
Kolory w czerwonym oleju, w jasności szkła,
I nagle starto ten obraz, zostało lustro matowe,
Szkłana kra.

Weszła w to lustro, mówili: idź dalej,
Do końca suchej ciemności, więc szła,
Coraz to dalsza, coraz to mniejsza,
I tylko skaza po niej została,
Rtęć wykruszona
W marmurze matowym szkła.

S Z T U K A I S U K A

Herbert z metafizyczną kukułką,
Różewicz z realnymi widmami
I nawet mozaikowe, rozbite
Bizancjum archimandryty
Mirona,
Piaski-sylaby ruszają wargami
I ziemia pluszowym językiem rzek
Pluszcze uszczęśliwiona.

Tatarak pachnie i muł,
Na wodzie kładka z nitki niebieskiej
I cień jej czarny na srebrze.
Jedno słowo na plecach ma złoty wór,
Drugie wypływa piołunne pestki
A trzecie żebrze.

Wszystko w upalny dzień
Pod łukiem nieugaszonych płomieni
Na dziś, na jutro, na zbiegowisko stuleci,
A tu przy nodze bezdomna, szczenna suka
Dołku ze sianem skomlać szuka
Dla swoich dzieci.

PO PRZECZYTANIU WSTĘPU
DO ANTOLOGII
„POEZJA POLSKA 1914-1939”

Nic mi po waszych datach, cytatach,
Rejestracyjnych studiach, archiwach
I wszystkich mądrościach wypaczonych:
Moja poezja jak moja miłość
Chce być szczęśliwa
A nie wytłonym
Światłem połyskać
W gabinecie mineralogii
Jak onyks.

Mówcie ze mną o wszystkim z tamtych czasów
Tylko o pokoleniach nie.
To miałkie prochy,
Które ze świata
Co drugi mocny wiatr wymiata,
Więc po co raz jeszcze gromadzić znów tu
Ten szarwark historyczno-polityczno-krytyczny.
To nie dla mnie.
Do luftu.

O pokoleniach nie.
(Gdzie, do jakiego ja należę?)
Mnie nie obchodzi ta dłubanina.
Dla mnie wysokie, nowe i stare wieże.
Indeks to piach i nizina.

Ja jestem z lotu ptaka.
Doświadczony i hardy,
W skrzydłach mam przeszłość i przyszłość,
Na czele własnej mej awangardy
Odnawiam własną mą niezawisłość.

Ja jestem z lotu ptaka.
W natężonej frenezji
Wypatruję nowego odkrycia:
Nie mówcie ze mną o śmieciach i prochach,
Mówmy o wiecznej poezji,
O boskiej komedii
Śmierci i życia.

WYSPY SZCZĘŚLIWE

Nie mogę wyjść z tego okna, to piętro bardzo wysokie,
W dole są tylko czuby platanów i pusta uliczna przestrzeń,
Dopiero dalej w powietrzu kilometry czerwonych dachów,
Szeroki, bity gościniec aż po zębaty widnokrąg,
Kretowiska kominów i osty anten.
Ukośny wiatr gołębi
I morze nieba.

Mogę iść tylko w górę, coraz wyżej podążać,
Do najbliższej wełnianej wysepki obłoków,
Potem do drugiej, sąsiedniej, także wełnianej,
I w tym rodzeństwie uformowanej pogody
Poruszać się jak wśród swoich.

Nie kusi mnie Asmodeusz aby zaglądać pod dachy,
Wystarczy mi ich przyziemność i przykucnięte piętra,
Zgadzam się: dużo jest okien, dużo kotów po domach,
Kolejki powietrzne, pielęgniarzy w białych pończochach,
Auta zaparkowane, butelki mleka przed drzwiami,
Dużo latarni i telefonów i tłustych ksiąg adresowych,
Wszystkiego jest dużo, ale tu gdzie ja mieszkam,
Tu jest to wszystko i jeszcze
O niebo więcej.

A więc podążam w górę, wchodzę na moje wyspy,
Rzucam wędkę do wody, czekam na drgnienie ryby,

Nikogo tu nie spotykam, wszyscy zajęci w dole,
Czasem dwoje kochanków nago grzeje się w diunach
Albo przebiega żuławy mlaszcząc stopami po brzegu,
I tylko ptaki spłoszone nagle mi krzyczą nad głową,
Bo młode ich leżą w piasku, w kołyskach nie głębszych niż
[ludzka dłoń,

A przecież na moich wyspach nikt nie nadepcze nikogo,
Nie ma tu krzywdy, policji, śmierci ani postępu:
Miłość która uciekła z ziemi na ten mój szczyt nadświatowy
Nikogo zranić nie może i wszystko się kończy szczęśliwie
Na ptasim strachu.

Taka jest moja idylla.

Ale wszystko to kłamstwo,
Bo właściwie ja pcham,
Upycham życie me syzyfowe,
Podciągam każdy dzień jak kamień,
Póki nie wypśnie mi się z rąk
I nie stoczy się na dół w podskokach,
Na platany, na kolejki powietrzne,
Auta, butelki z mlekiem,
Na cały ten chłam,
Którego wszyscy macie dość
A ja mam o niebo więcej.

Wtedy z dołu patrzę na moje Wyspy Szczęśliwe,
Na mój szczyt nadpiętrowy i utracony,
I myślę czy kiedy dopcham się znowu na tę wysokość,
Ale nic nie mogę naprawdę do końca domyśleć
Prócz tego jaki to trudny,
Nieosiągalny
Ten Ararat.

PTASIE MLEKO

Wyśmiali ptasie mleko,
Wylali ptasie mleko
I teraz wiadną matkom piersi,
Niemowlętom podają puste butelki
I nie wiadomo jak w żyłach ma toczyć się radość
I wstyd się przyznać, że pragnie się szczęścia
I wszystko musi być gorzkie i wrogie
I lepiej zaprzeć się siebie i kłamać,
Więc zachodzę do ptaków i pytam o mleko
Ale nie mają, mówią mi gniewnie,
I nigdy nie miały, mówią mi złe,
I śmieją się ze mnie
I wylewają
I zamiast p-tak
Krzyczą: nie.

POŻEGNANIE

Ręce, których nie można uścisnąć
Twarze, których nie można zapamiętać,
Pociąg, który odszedł za wcześniej
I tylko bufet kolejowy
I w tym bufecie na stojaka
Jeden i drugi ostry haust,
I jakaś rozmowa z pijakami
I znowu pusty plac przed dworcem
I tragarz woła na taksówkę
I nie wiadomo dokąd wracać
Bo przecież wszyscy wyjechali,
Zabrali bagaż i adresy,
Więc chyba wrócić do bufetu
Na jeszcze jeden ostry haust
Pożegnać się samemu z sobą.

PO ROZUM DO GŁOWY

Pójdę po rozum do głowy
Coraz dalej, coraz głębiej w las,
Między myśli trwałe jak drzewa,
Dogłębne, dorzeczne,
Arcylogiczne, nie do zbiccia,
Myśli z dna, z granicy życia
I ostateczne.

I tam już wszystko porozstrzygam,
Poskładam razem i stanowczo,
Tutaj radości, tu rozpacze,
I z trzodą się pomieszam owczą
I odtąd mnie popędzą z tłumem
I śmiać się będą gdy zapłaczę
Nad moim światem, nad miłością,
Nad utraconym bezrozumem.

O P I U M

Pont Marie, Pont Marie,
Co na moście tym nocą się dzieje!
Teraz nadpływa statek spacerowy,
Reflektor szpera w gąszczach ciemności,
Jestem pasażerem za 500 starych franków,
Na ścianie nadbrzeżnej czytam reguły czarnoksiężskie
I każda latarnia w niebieskich gałęziach
Rośnie jak naturalny owoc nocy,
Osrebrzone mury —
Dekoracje z teatru:
Wszystko jest inne.
Nawet wiatr niepodobny do wiatru.

Ale za wiele tego, za wiele,
Stańcie przed Hôtel Lauzun,
Otwórzcie drzwi.
Niech podadzą mi fajkę
Palacze opium.

Na tej białej wyspie się położę,
Po tej rzece popłynę,
Senne mnie wody zatopią,
Popłynię ze mną Baudelaire,
Srebrne owoce
I cały ten wielki, tłumny most
Idący nad życiem
Z nocy do nocy.

ZEGAR SŁONECZNY

Wszystko śpi. Gniew i miłość,
Namiętności, złudzenia,
Tylko przed domem
Słup nieruchomy
Popycha wskazówkę
Wieczoru i cienia.

Słup kamienny,
Żywot uśpiony,
Czas apatyczny,
Mikroskopijny.

Ale zapadnie noc,
Zegar działać przestanie:
Zbudźcie się ludzkie ćmy,
Noco owoco branie,
Żyjmy.

G Ł U P I W I A T R

Ogrody są zmęczone,
Liście suchy deszcz,
Wiatr już nie ma sekretów,
Kręci się wkoło przy furcie,
Nic mi o nim nie mówcie,
To najgłupszy z moich braci
Poetów.

Tłuką się w dyni wyschnięte ziarenka,
Kręci głową wodogłów,
W pustej czaszce za grosz rozumu,
Od pół wieku coś chce mi powiedzieć,
Wyseplenić się, wyjesienić,
Nic z tego nie słyszać
Śród szumu.

Te bajania mi niepotrzebne,
Dla mnie topole szare i srebrne,
Jeszcze w liściastym pierzu,
Jeszcze z gniazdami gawronów:
W dzwonnicy czarnego nieba
Nietoperz przy nietoperzu,
Serca wiszących dzwonów.

Dla mnie wysokość i pustka,
Miłość jak biała chustka
Na dworcu przy pożegnaniu,

Jak włosy rozwiane z pociągu
Na głowie,
Na malejącej głowie.

Ogrody są zmęczone,
Liście suchy deszcz
I jeszcze jedna jesień
Na głupim wietrze,
Na jakimś przeciągu,
Na wygwizdowie.

BALLADA O DWU GRABARZACH

Jeden — straszyciel. Nosi onuce.
Ręce ma oblepione gromnicą
I tłusty płaszcz od plam stearyny.
Dziki asceta. Nazywa się Bernard.
Żywi się korzonkami i żałobnicą,
Haruje bez przerwy do 6-ej godziny,
Potem kolacja i piernat.

Drugi — indywidualista.
Pan Wydra-Zazulski.
Miły facet, przystojny, wesoły,
Nie od razu się śpieszy do swego kominka,
Szybko strzepuje z rąk ludzkie popioły
I na Cmentarnej ulicy idziemy na drinka.

Gadu, gadu
O Chestertonie i świętym Franciszku,
(Syga i grzanka ze szpikiem),
Jak zwykle wieczorem
Przy kieliszku
Z byle kim
(Albo i z nikim).

O wiecznej ciemności,
O ciemnej wieczności
A potem, jak dawniej, za młodu,

Grosz do maszyny — i już gra sarabanda
(Pan Zazulski nie lubi swego zawodu):
Śmierć, panie — mówi — to granda.

Daje przykłady z życia i wierszy
I drwi ze świętego Franciszka
Że śmierć nazwał siostrą,
I gdy dochodzimy do ikstego kieliszka,
Zgrzytają drzwi, wchodzi ten pierwszy,
Zaczyna ostro.

Jak panu nie wstyd — powiada do Wydry —
Grabarze — klucznicy zaświata
I pierwsi od niego eksperci!
A pan co?
Z szumowinami się brata,
Pan nie czuje powagi śmierci.

I z czego pan żyje, mówmy otwarcie,
Ze śmierci, z ostatniej ludziom pomocy.
I to wszystko pan niszczy jak wandal.
Nie ma pan powołania,
Zamiast się skupić, pan chleje po nocy.
Grabarz — na nogach się ślania,
Skandal.

I krzyczy tak i pyskuje
Aż go z knajpy kelnerzy wyrzuca,
I odchodzi w plamach po stearynie
I świeci znad buta onuca
Utyłaną w glinie.

Ale wieczór jest już popsuty.
Wychodzimy na wiatr, na ulicę,
Pod zakurzone, smutne akacje.
Chmury powoli do domu mnie wloką
I w nocy myślę głęboko
Kto z nich ma rację.

W ZWIĄZKU Z CYTATĄ

Życie?

Nie mówmy o tym.

Wiadomo: „opowiadanie idioty”

I zgoda na wszystko beczynna,

I może Bóg, jeśli to go interesuje,

Płaczący nad tym samotnie

Jak rytna.

Niech on sam, jeśli zapragnie sensu,

Słowo na to odnajdzie,

W ciemnym worku poszuka,

Wyjmie je, wysłucha, opuka,

Prawdziwe jak serce,

Sztuczne jak sztuka.

NAVIGARE

Znów huczą z morza
Bo mgła
Ciągłe to słyszę
Od tylu lat
Zapalam sygnały
Daję znaki
I krzyczę (nawet przez sen)
Ażeby nie było nieszczęścia.

Nie pływajcie tędy bracia żeglarze
Latarnia morska w worku
Rozbijecie się na ziarenku piasku
Na przecinku
Na korku.

Tworzy waszej nie widać
Pracy waszej nie widać
Życia waszego nie widać
Śmierci waszej nie widać
Nie może być gorzej niż jest.

A z morza huczą
A na wodzie pisane
Navigare
?

POD ROZPACZ

Piszę pod rozpacz, pod gniew,
Nocą, w gąszczu zarośli,
Pod rozognione, niezaleczone
Wszystkie moje miłości.

Piszę pod nieobecność, pod nic,
Słowa się łuszczą,
Odpada ze mnie świat płatami,
Daremna puszcza.

Pod wrogi, zawzięty nurt,
Pod wszystko złe i najgorsze:
Ale co by to było gdyby nie rozpacz,
Zapamiętanie, gniew i te gąszcze.

PANTOFLE

Najważniejsze są twoje paznokcie,
Najważniejsze są twoje pantofle
I wszystkie inne bluźnierstwa,
Poza tym są ręce ze skórą startą jak dłoń u Murzynów
Nogi kelnerskie, w żyłakach, O-Beine
I świat. Zabójcze dobrodziejstwa.

Gdzie czego szukać? W ogrodach, w kameliach,
Pod czarnym krzyżem, w czarnych niedzielach?
A może ukryć się w jakimś zakątku?
Jak śmieszny filozof ze swoją beczką
W miasteczku Sucha, w piasku, nad rzeczką
Poszukać sensu i wątku?

Nauki sprzedawały się maszynom i potentatom,
Maszyny arsenałom, podziemnym zaświatom,
Zgubo, dokąd się śpieszysz?
Patrzę na małe, czerwone pantofle,
Na miłość moją, na filozofię:
Fetysz, fetysz.

RZECZ WSTYDLIWA

Łzy, wiadomo, rzecz wstydliva,
Nie męska.
Tak.
Ale do czasu,
Gdy nie ma już nic
Tylko płacz.

I co wtedy robić ?
Zacząć od początku,
Zapisać się do szkoły
I uczyć się, uczyć
Przez długie, zawile życie
Pierwszej,
Dorosłej,
Męskiej
Łzy ?

O K N A

Ciągną ich okna.
Skaczą.

Myślą że za mieszkaniem,
Za szybą z kurzem i sadzą
Wszystko im wytłumaczają,
Rękę podadzą.

Ciągną ich okna.
Grożą.

Mieszkanie — twardy kaftan,
Palce na gardle, klaustrofobia,
Schody, spluwaczki z piaskiem,
Windy z arteriosklerozą,
Lokatorowie nalani tłuszczem,
Worki otyłe, skrobia.

Dlaczego nie pochwyciliśmy ich w locie,
Dlaczego nie rozpięliśmy w dole prześcieradła,
Dlaczego się spóźniła policja z pomocą,
Straż pożarna.

Mogliśmy ich wnieść z powrotem na górę,
Rozmawiać, śmiać się
Najnormalniej w świecie,

Dać im kieliszek wódki,
Puścić płytę z kucharczą.

Nie słuchają.
Stoją na parapecie.
Skaczą.

Puste, otwarte okno
Przerażenia.

Puste mieszkanie
Otwarte na przestrzał.

Trwoga istnienia.

POCIĄGI

Lecą pociągi,
Dokądś mnie wiozą,
Stoję na dworcu,
Rozdarty podróżą,
Jadę daleko,
Nie ruszam się z miejsca,
Róża nade mną coraz czerwiejsza.

Oparci na łokciach z okien mnie widzą
I ja patrzę przez okno,
Bo lecą
Pociągi pośpieszne,
Dalekobieżne,
I tak przez cały dzień
Aż do nocy,
Gdy różą okrągłą świecą,
Światłem czerwonym
Za ostatnim wagonem
W pustkę ciemną,
Nad samotnością,
Nad zatraceniem,
Niedoczekaniem,
Nade mną.

Ż D Ż B Ł O

Stała przed bramą,
Dzwoniła — kto?
Wykruszyna roślinna,
Słoma zielona,
Żdźbło?

Dzwoniła żeby jej otworzyli,
Dzwoniła żeby ją tam przyjęli,
Może jeszcze nie wyjechali,
Nie spakowali się, nie pożegnali,
Może podejdą do okna,
Ktoś ręką skinie, ktoś się ukloni,
Więc stoi przed bramą samotna
I
Ciągle dzwoni.

Ale brama zamknięta,
Nie odezwał się nikt,
Jakiś cień za firanką się przesunął
I znikł.

A więc kto do mnie dzwonił i pytał kto
Czyśmy się już pożegnali,
Przeszłość nieodwołalna,
Młodość nie do zapomnienia,
Wykruszyna nostalgii,
Żdźbło?

I nagle mnie lęk ogarnął
Że nikt nie mieszkał w tym domu
Zamkniętym i samotniczym,
Że sam do siebie dzwoniłem,
Że sam się wygnałem,
Z przeszłości, młodości, miłości
Odszedłem z niczym.

RENDEZ - VOUS

Nie bój się, wrócę,
Może za godzinę, za dwie:
Zabłąkałem się w mojej młodości,
Na bulwarze studenckim,
Między księgarniami,
W kawiarni,
Pod oknem,
Nie wiem gdzie.

Stolik z butelką,
Naprzeciw dama młoda, samotna:
Pani tu czeka na kogoś?
Na przyjaciela, kolegę-studenta?
Mogę się przysiąść?
Czy pani mnie pamięta?

Niech pani nie mówi, że nie
Ani że tak,
Dla mnie jednaka mitręga:
Pani to młodość,
Bulwar studencki, okno, szkło
Przeźroczyste,
Nie wiem co,
Ja rozwłóczony po świecie przybłąda.

Chodziłem długo za panią,
Czy pani uwierzy — całe życie
Za ukochaną moją.
Teraz już późno,
W domu czekają na mnie,
Pewnie się niepokoją.

Muszę żegnać się z panią,
Żegnać możliwie bez wzruszenia.
Do kiedy ?
Do jutra ?
Do nigdy ?
Do widzenia ?

.....

Piszę to, miła, na ogryzku gazety,
Zabłąkany pod oknem,
Naprawdę nie wiem gdzie.
Piszę to, piję,
Tonę w nonsensach:
Ale nie bój się, wrócę,
Za godzinę, za dwie
Na rzęsach.

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE

Jeszcze oczy nie otwarte,
Jeszcze usta zamulone,
Jeszcze się nie zbudził wiatr,
A już idzie duch nad wodą,
Wznosi rękę,
Powie pierwsze słowo,
Zacznie świat.

Zacznie żyć od razu
Światło w barwach płonącego gazu,
Morskie słońce w mgłach.
Świt się nagle zerwie:
Żrebię kasztanowe
Na niepewnych nogach,
Złotą głową
Trzaśnie w dach.

Dzień się zacznie, świat się zacznie,
Srebrno- i niebiesko-okie
Dzieciństwo żrebięcia:
Morze wielkie, nieprzebyte,
Piękne i głębokie
Aż do zatonięcia.

DO MĘDRCA

Ta wieża tam się kończy,
Pod zaćmionym obłokiem,
Ale właściwie tam się zaczyna
Inna, jeszcze wyższa wieża,
I trudno się tego doliczyć
I wszelka rachuba się myli.
Dlaczego?

Jeśli ty wiesz,
Czemu się gniewasz,
Mój wszechwiedzący.
Odpowiedz otwarcie:
Ponieważ...

ZAPISANY

Nauczcie mnie liści,
Nauczcie mnie drzew,
Jeszcze raz proszę,
W górach są pnie prostopadłe,
Wzrost i szyje wyniosłe
I karkonosze.

Mówicie: wiosna,
A ileż to pracy
Muszą wykonać lasy!
Zapiszcie mnie w słoju dębowym
Pomiędzy stare i nowe
Niewyczerpane czasy.

Zapiszcie na brzegu,
Nożem pod korą
W palimpseście istnienia:
Liście, góry i człowiek,
Wszystko, wszystko
Jest pochwałą stworzenia.

NA GAŁĘZI

Nikt nie krzyczy z radości, że się obudził
Tylko ptaki o świcie, ptaki za oknem,
Wszyscy się boją tego, co dzień im przyniesie,
Tylko my na gałęzi nie.

Nikt nie chce się wyrzec tego co posiadał
I w gęstej pościeli trzyma się resztek snu,
Wszyscy tak żyją jak gdyby żyć mieli wiecznie,
Tylko my na gałęzi nie.

EROTYK DLA ZIEMI

Widnokrąg — objęcia miłosne,
Pośrodku zieleń — ślubne łoże:
Lato i jesień przygarne
I nawet wiosnę,
Chudą wiosnę przy sobie położę.

Zona moja sześćdziesiąta szóstą,
Piękność wieczysta przede mną i po mnie,
Zorane ciało otwiera jak usta
I aż się z miłości pręży
Gdy gnają gościńcem po niej
W złoto-czerwonej upręży
Dzwoniące konie.

To w sobotę, w niedzielę,
Dwa dni i dwie noce
Muzyka, tańce, pijaństwo:
Jedzie krakowskie wesele,
Jaśnie państwo.

I zatacza się łoże wesoło,
Objęcia miłosne, koło,
Widnokrąg zachłanny,
Świat zamroczony —
To dla mojej ziemi-panny,
To dla mojej ziemi-żony.

PRZEBITY ŚWIATŁEM

A może mi się przywidziało,
Może to deszcz i noc i potem
Lustro naprzeciw okna dniało
I wiatr przewracał się z łoskotem.

I nadszedł świt nieznany, drżący,
Na nowy dzień mnie wołał w śnie tym
I obudziłem się krzyczący,
Przebity światłem jak sztyłem.

J E Ż E

Jeżycą ma pięć młodych jeżątek,
Nocą wychodzi na łowy, w dzień karmi je mlekiem
Na odsłoniętym podbrzuszu,
Skąd to się wzięło w tej szopie,
W podwórzu,
Skąd?
Stworzycielu, cóżeś znowu wymyślił
By mnie zadziwić, zachwycić
I wszystkie ważne sprawy
Odsunąć w kąt?

Samowiedna, skryta przyroda,
Kolcami nabita ciemność,
W malutkiej kuli przede mną
Bezgraniczną określa pojemność.

Pięć razy jeden jest ile
I pięć przez wszystkie miliony,
Stworzycielu, który się mnożysz
Nigdy nieobliczony?

Idę uważnie po trawie
By nie nastąpić na nie,
Ale gdzież tam!
Jeże pod matką skulone
Śpią nowo nam narodzone,
Szopa — Brama Niebieska.

ROZMOWA Z KSIĘDZEM

Księżu, zgódźmy się,
Niebo nie jest w modzie,
Ludzie uciekają z tamtych sfer,
Płyną jak szczury z okrętu
Po gołej wodzie
Na same dno
Zamętu
Po żer.

Mówisz, że to epoka winna
Wszystkiemu złu?
Ale epoka to my,
Na szczęście (nasze ostatnie) bezsilni,
Niewtajemniczeni, zniewoleni,
Z rękami w pętach
Tylko przelotem
Tu.

Ja jestem zgodny.
Podaj mi twoją wieczność
Bez alegorii i symbolu:
Nie chcę się dłużej wygłupiać
W sophisticated wykrętach
Ludzkiego entomologa
Nad ludzką mrówką w polu.

Tylko że mrówczy kwas i pot człowieczy
To wspólne kadzidło, chwała władzy,
I przemoc która w ślad się wlecze
Epoka po epoce.

Czemu więc męczę się nad słowem,
Nad jakimś życiem innym i nowym
W te beznadziejne noce.

Czemu się staram o ten świat
Gdy trzeba wybrać się na drugi.
Uwierzcie mi,
Tu kłamią wszystkie słowa
I ludzki czas też kłamie:
Księżu, po co ta cała rozmowa,
Podaj mi uncję wieczności,
Do diabła z epokami.

ŚWIĘTO TRWANIA

8-go kwietnia urodziny Buddy,
Japonia idzie z gałązką wiśni,
Niesie kwitnącą świecę
Ze zmiennej ciemności życia
W niezmienną jasność
Jedyne trwania:
W doskonałość
Niebytu.

Naprzeciw Bóg Ojciec z naszej figury
Idzie z gałązką wierzby,
Niesie kwitnącą świecę
Ze zmiennej ciemności życia
W niezmienną jasność
I trwałość istnienia
Nieprzerwanego
Na wieki wieków.

Przechodzi wiosna koło wiosny,
Mija się gałąź z gałęzią
I rozstaje się niebyt z istnieniem:
Odmienne zbawienia z dwu stron
Do swoich się śpieszą jasności,
Do dwojga zamkniętych drzwi,

Pod które jak żebrak ścigany
Przez policję w luksusowym uzdrowisku
Podpełza ostatnim wysiłkiem
Na czworakach
Doczesny
Wyznawca.

FIZYKA METAFIZYCZNA

Jest prawo przyciągania ziemi
I prawo przyciągania powietrza
I jest w tej mojej fizyce
Metafizyka wieczna.

Jest ogród, wzgórze, na wzgórzu topole
A za nimi już koniec świata,
Czasem tylko szumiącą strzałą
Samolot stamtąd wylata.

Skaczę wtedy z ziemi do góry,
Daję się wessać w pasmo lotu,
Ach, jakie szczęście, jaka potęga
Blasku, szybkości, łoskotu.

Ale to fikcja, zmyślenie, poezja,
Ta ziemia, powietrze, lot — cała trójca.
Jedno jest prawdą: że potem ze szczytu
Spada szczęśliwy samobójca.

NIE MA TAKIEJ RZECZY

There is no such thing as was
(Faulkner)

Nie ma nic takiego co było
Jest tylko taka rzecz jak jest
Zaczęta wczoraj ciągnie się w jutro
Przez czasy przeszłe i przyszłe
W nieregularnej koniugacji
Człowieka i świata.

Ale najważniejszą rzeczą jest wszystko
Największa jedność nie do podziału
Jedyna wspólność rozdarowana
Uzasadnienie bytu
Nieogarnięte w smutku jak NIGDY
Ciepłe od nadziei jak ZAWSZE.

R.I.P. 6.VII. 1962.

P A N T E O N

Drzewa stojące
Na szczytach
Na popękanych kamieniach
Bite piorunami
Podgryzane erozją
Ustawione pod wiatr

Drzewa z pustki pnące się wyżej
Z braku wilgoci w suchy żar
Z trudnego życia w trudną śmierć
Wierne losowi
Przeciwnie losowi
Lasy walczne
Nawet w powietrzu

Drzewa tysiącletniej próby
Panteon stoicki.

W I E R S Z O W Ó D C E

Pędzą ją z pestek, z łup winogron,
Z jabłek, śliwek, agrestu,
A ja wam utoczę wódkę z nie-mowy
Moich traw ogrodowych,
Z szelestu.

Tylko połóżcie się tak jak ja,
Głowami w dyniach, rękami w grochu,
Wzdłuż pościelistych bruzd,
I pijcie szum ten i szelest życia
(I śmierci po trochu)
Z podziemnej ciemni,
Z tajemnej gorzelni,
Z roślinnych ust.

Wyszeleści się gleba szczęśliwa,
Wysłowi się krew jej, oliwa,
I wzejdą pędem samiczym
Pożywne wywary,
Warzywa.

Śmiertelnie miłosny alkohol,
Rozpaczliwe pijaństwo istnienia,
Przymus kosmiczny,
Biała patoka:

Położcie się tylko na ziemi,
 Najbliżej dna, najbliżej korzeni,
 Zobaczycie jaka to wódka,
 Jaka czysta i
 Jaka głęboka.

WIEKSIÓZ WÓDCE

Pędz jest z potok, z kół wódki
 I jakby kół, kół, kół, kół
 A ja wam mówię, mówię, mówię
 Mówi traw ogrodników, mówię
 I wszystkim, wszystkim, wszystkim
 I wszystkim, wszystkim, wszystkim

Tylko podobnie nie tak jak ja
 Ciężar w dymie, ciężar w dymie
 Wódka podobnie, podobnie, podobnie
 I podobnie, podobnie, podobnie
 I podobnie, podobnie, podobnie
 I podobnie, podobnie, podobnie
 I podobnie, podobnie, podobnie
 I podobnie, podobnie, podobnie

Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka

Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka
 Wódka, wódka, wódka, wódka

OKNO NA OGRÓD

„Otworzy pan okno na ogród
A wszystko się samo napisze” —

Więc posyp się trawo na stole,
Nie spadajcie jeszcze, jabłka i gruszki,
Nie lękajcie się paździenika, truskawki,
Pietruszki, rzedy, co jest tam jeszcze,
I wszystkie słowa wrogie i oszożone
Przejdźcie na moją stronę.

Zielona bibuła — trawa,
Beżowa lampa — jabłko,
Ach, tylko szybko, szybko
Niech mnie zarosną po uszy
Chochóły słomianą czapką
Niewidką.

Bo poza stołem demony,
Książki, litery, półki
I wyszczerbione zęby
I sufit, hiatus, paszczęka,
I wszystkie prawdy odlatujące
Jak z drutów spóźnione jaskółki.
Drży mi ręka.

Ale otworzę to okno,
Otworzę póki jeszcze zielone,
I sam przez nie wyjdę na ogród, w sad,
Trawy i drzewa zawołam na pomoc,
Ziemia to przecież mój owoc:
Jesień która jest moją rodziną,
Miłość która nie chce mnie minąć,
Ptak który wraca na moją stronę,
Prawdziwy,
Kłamliwy,
Dotkliwy
Ale jedyny
Świat.

ZNAKI ZAPYTANIA

Może to wiedza cierpienia,
Której tu służę,
Tłumaczę jej sens:
Podążam za nią,
Ręką po murze
Sunę, pół ślepy
Nad rumowiskiem
Gruzów i klęsk.

Może to miłość niewyczerpana,
Psia,
Gdy pochyla nade mną
Noc nieprzejrzanie ciemną
A w ustach ma światło
I upał dnia.

Może słowo niewyrażone,
Leżące na spodzie snu,
Który z mułem podziemnej rzeki
Na tamtą drugą unosi mnie stronę
Ale wypływa tu.

Może coś jeszcze innego,
Tylko co, tylko co, nie wiem sam:

Serce prawdziwe,
Serce kłamliwe,
Serce dotkliwe,
Serce jedyne,
Które mam.

NOCNE DRZEWA

Nocne drzewa seplenią coś niezrozumiale,
Tylko świerszcze słyszać wyraźnie.
Księżyc w pustce rozpalił swoją
Wszystko-widzącą wyobraźnię.

Mnie wystarczyłby
Ten muzykant malutki,
Skrzypek owadzi:
Nutkę cieniutką
Po nitce-nocce prowadzi
O tym że jesień,
Że zimno nad ranem,
Że lepiej przy ludziach
W szparze podłogi
Pod ciepłym dywanem.

Ale drzewa seplenią, że nie.
Że lepiej samemu na ciężkich wiatrach.
Seplenią przez wybite zęby,
Poszczerbioną szczęką,
Przepuszczają księżyc przez sita bezlistne
Przez palce zdeformowane artretyzmem,
Przez głowy z dziurami na wylot,
Przez jesienne tortury,
Conocne kaźnie.

Tylko świerszcze słyszać wyraźnie.

NAD RZEKĄ HOUSATONIC

Wylała rzeka Housatonic. Powódź w lesie.
Woda objęła drzewne stopy
I pnie się coraz wyżej, do kolan, do pasa.
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?
Drzewa uwiązane do ziemi nie mogą się ruszyć,
Uciekły sarny i lisy, ślady na szarym śniegu,
Exodus wszelkiego stworzenia.
Dla nich ratunek.
Drzewom śmierć.

Ale w nocy nadszedł mróz, wody obmarzły
I pod lodem spłynęły Bóg wie dokąd.

Z powodzi wyszły drzewa przebrane,
Paczki baletnic na biodrach pni,
Fartuszki z adamaszkowej mory,
Fraucymer w białych krynolinach,
Królowe w koronkowych kryzach
Velásqueza pod szyją.

Tak zaczął się w lesie bal kostiumowy,
Zimowy karnawał.

Wiatr pędził kuligiem w saniach ze słomą,
Koniom siwiały nozdrza,

Oddech zieleniał w księżycu
A lód pękał z hukiem.

To młodzi strzelali z krucic na wiwat,
Panny i chłopcy w śmiech i w śmiech,
Wiadomo wracała wolność drzew
I gnały zapusty, ostatnie zapusty,
A w leśnym domu siedział krótkowidz
Nad papierami, nad książkami,
I nic nie widział, ślepotą rośła,
I nic nie pisał, samotność rośła,
I tylko gryzmolił linia za linią:
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?

SAMARYTANKA

*Our natures do pursue —
Like rats that ravin down their proper bane —
A thirsty evil*
(Miarka za miarkę)

Chcesz im dopomóc?
Włóż rękę w to szcurze nieszczęście,
Palce w ten kłęb kołduniasty,
Pod pulsujące, głodne brzuchy,
Pod łby zaplątane w sznury ogonów,
Pod piski i pyski kwiczące,
Spróbuj rozwiązać ten węzeł rozdrzany,
Chaos zażarty,
A zobaczysz jak cię oskubią,
Obgryzą palce,
Obkąszą do kości —
I co ci, Samarytanko,
Z dłoni twojej,
Z miłości wielkiej
Zostanie?

Pięć małych paznokci
Na wierzchu nieszczęścia,
Na falującej ławicy grzbietów,
Na rozlewistym szcuryzmie,
Mniej niż bezimienne butelki
Skaczące na oceanie.

OGRODNICY

Ogrodnicy rzeźbią ziemię,
Poprawiają jej rysy:
Chcą upiększyć moją najpiękniejszą,
Ugładzić moją niespokojną,
Uleczyć moją zatrutą.

Ale nad ziemią przewłóczyła się Historia,
W szkołach uczą pisać ją przez duże H,
Budują z marmurów pałace Historii,
Elektryfikują wielkie prowincje Historii,
Dają koncerty skrzypcowe Historii,
Straszne koncerty
Na głuchoniemych instrumentach:
Z futerałów zgubiono dźwięk.

A ogrodnicy plewią.
Japończycy w deszczu, pod parasolem,
Starcy francuscy w ogródku nad Mozą,
Baby hiszpańskie w żebraczych kamieniach,
Plewią w kibucach Izraela,
Plewią na Cejlonie.

Chcą wyplewić maleńkie pólko pod niebotyczną ścianą
[Historii,
Zielony kwadrat pod wszechwidzącym oknem Historii,
Zasadzić pieczarki w piwnicy Historii,

Ustawić donice na tarasie Historii,
Wyrzeźbić instrument zgubiony w Historii.

Co wy robicie, nic się nie zmienia,
To przecież pineska pod stopą słonia.

A oni plewią.
Chcą upiększyć moją najpiękniejszą,
Ugładzić moją niespokojną,
Uleczyć moją zatrutą,
Ogrodnicy, geohumaniści.

PRZEPIS SANITARNY

Ścierajcie mokrą krew
Na świeżo,
Zimną wodą,
Jak po goleniu.

Ścierajcie z rąk zachlapanych,
Z fartuchów pod brodą,
Z kartotek bezpieczeństwa,
Z historii udoskonalonej do kłamstwa,
Z pamięci stosowanej,
Z ciała śmiertelnego,
Ze wszystkiego
Do czego potrzebna jest krew.

Ścierajcie juchę lepką,
Niech nie wycieka,
Nie plami,
Nie śmierdzi,
Nie zdradza:
Krew potęga,
Nadziemska władza.

Zmywajcie ją zaraz,
W tej samej chwili,
W tym samym pokoleniu,

Żeby nie przyschła,
 Nie zachodziła pod paznokcie,
 Nie wykruszała się przez wieki,
 Nie brudziła pralni chemicznych,
 Żeby znikąca jak pod ałunem,
 Jak po goleniu.

Z E G A R Y

Zegary zeskokczyły z wież,
Uciekały do innego miasta,
W rękach miotły z czarnych wskazówek,
Na plecach worki z miałkim czasem,
Mówiły że to kasza gryczana,
Śpieszno nam, puśćcie nas,
Bójcie się Boga.

A ludzie do nich: hej, wolnego,
Kto nam pokaże kiedy dzieci mają iść do szkół,
Kiedy zamykać banki,
Kiedy ostatni autobus,
Co to za życie,
Bójcie się Boga.

Ale zegary pogłuchły,
Nie odezwały się ani słowem,
Tylko ptaki biegły rzędem za nimi
I dziobały rozsypując się kaszę
I tyle pożywnego zostało na ziemi
Po Naszych Czasach.
Bójcie się Boga.

BALLADA NASZYCH CZASÓW

Cementem usta mu zalali,
Ryskalem pocięli mu twarz,
Butami kopali go w jądra,
A gdy turlał się obłąkany po ziemi
Krzyczeli:
Krzycz teraz ty,
Wzywaj pomocy od świata.

Głośno wołaj, niech cię usłyszą,
Masz długi rejestr rekursów:
Godność człowieka,
10 przykazań boskich,
100 konstytucji państwowych,
Liberté, Egalité, Fraternité
ltd.

Ale on już nie słyszy,
Nie woła, nie czeka.
Oczy mu zaszyły białkami
I przestał się turlać po ziemi.

MATKA BOLESNA

Ils sont incapables de vivre dans un univers où la pensée la plus bizarre peut en une seconde entrer dans la réalité — ou, la plupart du temps, elle y entre, comme un couteau dans un coeur.

CAMUS (Caligula)

Ludzkość, Matka Bolesna,
Nosi w sobie nie nóż
Lecz siedem mieczów,
Kto się dzisiaj urodzi o świcie,
Spojrzy na świat —
A to już wieczór.

Lepiej niech nie otwiera oczu
I ssie swój ciepły, ciemny byt,
Ran nie zaleczy, zła nie odczyni,
Taka jest matka, taki świt,
Miłość-nienawiść,
Morderczyni.

SELF - PITY

Jesteśmy pseudo-świętokradcami,
Niby to wstępujemy na krzyż,
Ręce otwieramy aby objąć świat
A właściwie nie ruszamy się z miejsca.

Ciężar nasz ściąga nas w dół,
Mówimy że gwoździe rozdzierają nam ciało,
Obsuwamy się zwolna w ostatnią noc
Z jękiem że nikt nie cierpiał jak my,
A poeci mówią o sobie:
Qualis artifex pereo.

Jeśli to nie jest całe nasze życie,
Taka jest główna jego treść,
Tylko że nasz egoizm kamienny
(Ze swoją pychą zaborczą)
Jeszcze nikogo nie zbawił,
Nawet nas samych.

I tyle wypiszą o nas
Na wysokiej wyroków tablicy,
Żeśmy myśleli o sobie jak o męczennikach
A jęczeliśmy jak jęczennicy.

KATEDRY ROMAŃSKIE

Wysadzą nas w powietrze
Czy nie?
Taką krzyżówkę rozwiązuję w *Paris-Presse*
I rozwiązać nie mogę.
A ty chcesz jechać do Vézelay,
Kto by cię tam zawiózł?
Koleją źle.
Samochodem?

A ty chcesz jechać do Autun,
Tam leżą trzej królowie i śpią,
Anioł zbudził jednego,
Półsenne otwiera oko:
Trzeba wstać, iść.
Dokąd?

Tyle już razy się budzi,
Tyle gorzkich wieków się trudzi
A teraz jeszcze jeden maleńki wiek,
Z nożem w pysku, zbójceki,
Cholerny wiek
Pseudo-krzyżowców,
Krzyżówkowych ludzi.

Jeden maleńki, krwawy ściek,
Który strugą katedry wysokie obiega,
Maleńka, wszechwładna, zabójcza
Alfa i Omega.

A ty chcesz jechać do Vézelay,
A ty chcesz jechać do Autun,
Myślisz: może tamten anioł wie,
Kamienny budziciel,
Czy nas wysadzą w powietrze
Czy nie,
A może nawet coś więcej?

Wszystko jedno:
Jedź tam, jedź tam
Czym prędzej.

PIKNIK

Atom w słowniku: niedziałka.
Jak idyllicznie. Prawie niedziela.

Grzyby rosną pod niebo
Za naciśnięciem guzika
Na zawołanie
Muchomory giganty
Pod biegunami
Na Pacyfiku
Wielkie niedziele
Wielkie niedziałki
Grzybobranie
Zgiełk na pikniku
Jajka na twardo
I ulęgałki
Diabelskie
W koszyku.

EPITAPHIUM

Poległych na wojnie polewa się wapnem,
Tym samym wapnem co latrynę,
Leżą jak mimy z mączną twarzą,
Już nie ruszają się, nie straszą,
Skończyli pantominę.

Leżą pod mokrym prześcieradłem,
Pod maską lepką i pośmiertną,
Potem ich wszystkich razem rzucą,
Pół czaszki, nogę, jedno płuco,
Na wóz wysoką stertą.

Powiezie furgon białe oczy,
Dziurki od nosa, zęby w ustach,
I ziemia się rozeschnie pusta,
Połknie ich wszystkich,
Zatrue się wapnem.

Zabijajcie się dalej.
Umarli — ponad tym.

STRACHY

Strachy mają swoją historię naturalną:
W dzieciństwie ciemny pokój, kominiarze, czarownice,
Potem zły belfer, matura, pierwszy wyrwany ząb.
Kilka lat — i strachy już znormalizowane:
Choroby, wypadki samochodowe, podła miłość,
Każdy może tu wpisać co chce.

Ale są rzeczy straszne, które nie budzą lęku:
Popołudniowe uschnięcia, odpływy sumienia,
Heroizm i anty-heroizm narodów szalonych,
Nawracanie na szczęście, nawracanie na umór
I biedny człowiek w tym zgubiony,
Homo-ledwie-Sapiens,
Jak mówią w Polsce.

ALLELUJA

Na co czekamy
Na matkę głupich
Na żadną nadzieję
Na wszystko już było
Na nic się nie zmieni
Na może jednak
Na co by gdyby
Na ślepy przysłówek
Na ślepy zaulek
Na groch przy drodze
Na skubnie kto idzie
Na co tam nowego
Na nic proszę pana
Na prawo i lewo
Na trele morele
Na głupią nadzieję
Na listonosza
Na Alleluja
Na zmianę
Wszystkiego.

PRZERAŻONY

Przerażony do czego zdolny jest człowiek,
Zachwycony jak piękna jest ziemia i świat
Sub tegmine fagi,
Jedną wargą podnoszę bunt,
Drugą wyznaję miłość
Dla rozpaczliwej
Równowagi.

Nie złamię zła,
Nie podołam,
Nic nie zmienię
Ani w ludzkiej zagładzie
Ani w ziemskiej urodzie,
Ale dla czegoś co jest silniejsze niż ja
I sto razy więcej ode mnie znaczy,
Trwam przy mojej zaciętej niezgodzie,
Podnoszę bunt,
Podnoszę miłość,
Podnoszę wszelkie żywe istnienie
Przeciwno rozpaczy.

NA ŚMIERĆ BRONIEWSKIEGO

Chciał rządzić się tu po swojemu,
Stawiał się sztorcem do świata:
Historia — myślał — to demon.
Ale jemu nie do demonów,
To był cygan,
Brat-łata.

Historia — marzył — i przyszłość
I wolność i sprawiedliwość:
Ale miał krew sobiepana,
Do głowy mu biła, kipiała,
A w krwi kropelkę trucizny,
Tkliwość.

Kłócił się, procesował,
Cały kram był gotów pozmieniać,
Wciąż krzyczał: „Polska — ale jaka”,
Szłagoński pieniacz,
Romantyk, heros
Czy zabijaka?

Mniejsza z tym,
Od siwej czapki leguna
Wędrował po ojczystych aresztach
Aż do wybranej sowieckiej wolności,

Gdy sznurem wiodła więźniów po stepach
I kołem polarnym przeszła
Po kościach.

Zapił się.
Ale kto się nie zapił
Pod orenburski wiatr?
Pod ewangelię demonów?
Pod ciężką głowę
Którą tam kładł?

Długo wielbili go potem,
Zasypywali kwiatami i prezentami,
Zaszczytną zmorą:
Ale on — nie!
Jak pijany płotu
Trzymał się swego rebelianckiego honoru.

Zbliżała się ciemna, ostatnia noc,
Kwiaty odesłał na grób towarzysza
Który wyłamał,
Prezenty kazał dać koledze w więzieniu:
Jeszcze raz się zbuntował
W skotłowanym sumieniu.
Nie kłamał.

Ciemna, ostatnia noc,
Której nikt nie odegna:
Umarł mi ex-przyjaciół,
Zadziorny, niemądry, wrogi.
A jednak?

Przeszedł tu wszystko,
Ex-szaławiła i zawadiaka.
Dotarł do sedna.
Polska bez niego potoczy się dalej,
On wciąż będzie krzyczał:
Ale jaka?

I to nas pojedna.

ZASYPYWANIE MORZA ŚRÓDZIEMNEGO

Ogarnął ich amok.
Chcą zasypać morze Śródziemne:
Na bucie włoskim już pudy piachu,
W Marsylii — mielizna,
A przecież to wszystko nasza ojczyzna,
Aix — Biecz,
Panteleria — Sanok.

A przecież jeszcze jest Kraków,
Pod Gibraltarem delfinice,
Słowacki patrzył na przelot ptaków,
Nad Nidą odkopują Wiślicę.

Panowie archeologowie,
Przebijcie starą skórę ziemi,
Podnieście kamień spod gruntu,
Posuńcie nasze granice
Tam gdzie sięgają,
Do Selinuntu.

Bo przedsiębiorcy przywieźli buldozery nad brzeg,
Pochwycili kraj jak łopatę
I podziemny kopią już chodnik
Pod morzem Śródziemnym, zasypywanym,
Które nas łączy ze światem,
Które dzieli nas od nich.

EPOKA ELEKTROWNI

Wyszli ojcowie narodów śać
Nową przyszłość i szczęście
Nowego człowieka.

Pełną garścią sypią nową pszenicę,
Mielą mąkę, zaczyniają chleb
Nowego człowieka.

Ustalają żywność, kalorie, metabolizm,
Ciału higienę, myśleniu proporcje
Nowego człowieka.

Naukę na wyścigi, wyścigi na księżyc,
Księżyc na tacy, ubaw po pachy
Nowego człowieka.

Człowiek faustowski,
Człowiek freudowski,
Człowiek sowiecki,
Człowiek radziecki,
Człowiek germański,
Wiejski, miejski,
Dahomejski
I republikański.

A zaczyna się tak niewinnie
Jak łupież we włosach,

Jak grzybek między palcami nóg,
Jak alergja do truskawek.

I rośnie.

Coraz wyżej rośnie

Jak bestia która wymawia słowo amnestia,

Jak pomniki Stalina w Budapeszcie i w Pradze,

Jak magiel atomowy maglujący pokój,

Jak trzy miliardy ludzi rozparcelowanych na dwa folwarki,

Jak mity obalone przez konkurencyjnych mitotwórców,

Jak racjonalizm zalecany przez grubopłatnych marzycieli,

Jak zrównanie równych i najrówniejszych w adekwatnej
[aberracji,

Jak noc poszerzona przez elektrownie.

I nie wiadomo jak to się skończy,

Może w Arkadii zaludnionej przez Hieronimusa Boscha,

Gdzie psy z ludzkimi głowami

Zaspiewają w kaplicy Sykstyńskiej,

Gdzie niedojone owieczki i sentymentalne wilki

Zjadą się na kongres humanistyczny,

Gdzie stare wydry i stare wieprze

Ogłoszą moralność eugeników i abstynencję od grzechów
[młodości,

Gdzie skasuje się ludobójstwo i głód

A plutony egzekucyjne strzelać będą do kaczek,

Gdzie tajna policja polityczna

Przejdzie do legend o politycznych Robin Hoodach,

Gdzie nikt nie spojrzy na stopę życiową

Bo dobrobyt chwyci każdego za gardło,

Gdzie w bramie stanie Archanioł Narodów Zjednoczonych

Z butem w ręku

I ostempluje obcasem

Wejście stojących w kolejce do raju

Nowego człowieka.

A może skończy się w grocie Altamiry albo Lascaux,

Na biwaku bezdomnych, pod ścianą bizona i nosorożca,

W okresie zmodernizowanego paleolitu,

Kiedy nie będzie już trzeba uciekać przez druty kolczaste

Od załatwienia wszystkiego dla wszystkich na zawsze

I kiedy po naszych siewcach i ojcach narodów
Zostanie kilka radioaktywnych ziaren pszenicy
Na pamiątkę jak świetnie nam się udała
Epoka elektrowni
I poszerzona noc.

Ciemności wszystkich krajów, łączcie się
Nad protestem i niemocą
Czarnej poezji
Czyli gorzkiej prawdy.

POWIEŚĆ O ŚNIEGU

W nocy spadł śnieg,
Powieściowy śnieg,
Początek „Popiołów”,
Ogary poszły w las,
Zima z 19-go wieku
Szlachecka, napoleońska,
Sypie, sypie,
Zasypała nas.

Huczy w kominie,
Dorzućcie polan.
Świat ma nogi uwięzione,
Nie wstanie z kolan.

Nie wyjdzie stąd nikt,
Zawiane drzwi i okna,
A wy się śpieszcie nad Berezynę:
Sople na wąsach,
W butach mokro,
Niebo w jodynie.

A jeśli nie zdążycie,
Połóżcie się na śniegach,
Na bożych poduszkach,
Sterane wiarusy:
Pożalujemy was,

Poczytamy was
W patriotycznych romansach
I w łózkach
Po uszy.

Zapolujemy jeszcze raz,
Ogary poszły w las,
Śnieg oczy zalepia:
Może wyjdzie jak pasjans
Jeleń rogaty na strzał,
A może błysną jak głód
Wilczaste ślepia.

SIEMIONY

Siemiony z piasku z pszenicy
Z Lublina
Jeśli Polska ma skórę to waszą
Jeśli włosy to wasze
Jeśli oczy to wasze
Jeśli wasze to moje

Siemiony
Lubelskie kujawskie
I nadwiślańskie
Jeśli Polska jest młoda to dla was
Jeśli czeka to na was
Jeśli cierpi to za was
Jeśli wy to i ja

Jeśli rankiem to obłok
Jeśli nocą to usta
Jeśli pachnie to siano
Jeśli szczęście to szczęście
Jeśli rozpacz to coś o tym wiem

Siemiony siemienne
Siemiony nasienne
Ziemie nieziemskie
I nie anielskie

Pszenice i włosy
Oczy i słowa
Usta na piasku
Polskie lubelskie
To ja.

KUPFER

K U F E R

Marii Dąbrowskiej

Na strychu śpi mój powrót,
Kufer blachą okuty, walizy,
Cała moja ojczyzna,
Paszporty, obywatelstwa,
Emigracyjne wizy.

Kufer, mój wielki majątek,
Którego tutaj mam bronić,
Normalny nieszczęścia początek
I obłąkany koniec.

Kufer starych zjełczałych dzieci,
Gotowych dalej dziecinnieć i głupieć
I wśród niezdatnych na nic rupieci
Samotność dzika, gorycz nostalgii,
Najrozpaczliwszy rupieć.

Psie wycie za moją ziemią karpacką,
Spazm do którego wstyd mi się przyznać —
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki,
Kufer na plecach,
Schodzone stopy,
Ojczyzna.

Taki jest bagaż. Taki wojaż,
Taki mój rozkład jazdy:
Wszystkie strony świata otwarte
A wyjścia z żadnej.

Taki jest potrzask. Ani co wziąć stąd
Ani z czym dobiec na koniec:
Strych mój i powrót,
Zguba i miłość,
Której zabić nie umiem
Ani obronić.

WISŁA I WYSPA

Polska leży nad Wisłą.
Nikt nie jest samotną wyspą.
Wszyscy to wiemy. I na nic.

Atak przeminął. W nocy szukamy
Niepewną ręką na sercu szramy
Nieprzekraczalnych granic.

Czujemy palcami wilgoć. To Wisła.
Czujemy palcami szorstkość. To wyspa.
I potem świat się kończy urwiskiem.

Atak przeminął. Ale cóż kiedy chora
Pękła w nas przeciążona komora
I krew się rozlała po wszystkim.

Zabliźni się, nie zabliźni,
Doczeka się, nie doczeka
Za tym urwiskiem, spoza otchłani.

Atak przeminął. Drżąca powieka
Widzi jak płynie rzeka daleka.
Zielony topielec na niej.

SPIS RZECZY

<i>Jedno słowo</i>	7
<i>Wynajmę się</i>	8
<i>Alibi</i>	9
<i>Zuzanna czyli poezja</i>	10
<i>Rzeczownik</i>	11
<i>Usta i oczy</i>	13
<i>Melodramat</i>	14
<i>Puszcza</i>	15
<i>Rysunek Leonor Fini</i>	16
<i>Koncert</i>	17
<i>Dwunasta</i>	18
<i>Leśmian w zimie</i>	19
<i>Emily Dickinson</i>	20
<i>Obraz</i>	22
<i>Sztuka i suka</i>	23
<i>Po przeczytaniu wstępu do antologii</i>	24
<i>Wyspy szczęśliwe</i>	26
<i>Ptasie mleko</i>	28
<i>Pożegnanie</i>	29
<i>Po rozum do głowy</i>	30
<i>Opium</i>	31
<i>Zegar słoneczny</i>	32
<i>Głupi wiatr</i>	33
<i>Ballada o dwu grabarzach</i>	35
<i>W związku z cytata</i>	37
<i>Navigare</i>	38
<i>Pod rozpacz</i>	39
<i>Pantofle</i>	40
<i>Rzecz wstydliva</i>	41

<i>Okna</i>	42
<i>Pociągi</i>	44
<i>Żdźbło</i>	45
<i>Rendez-vous</i>	47
<i>Kiedy ranne wstają zorze</i>	49
<i>Do mędrca</i>	50
<i>Zapisany</i>	51
<i>Na gałęzi</i>	52
<i>Erotyk dla ziemi</i>	53
<i>Przebity światłem</i>	54
<i>Jeże</i>	55
<i>Rozmowa z księdzem</i>	56
<i>Święto trwania</i>	58
<i>Fizyka metafizyczna</i>	60
<i>Nie ma takiej rzeczy</i>	61
<i>Panteon</i>	62
<i>Wiersz o wódce</i>	63
<i>Okno na ogród</i>	65
<i>Znaki zapytania</i>	67
<i>Nocne drzewa</i>	69
<i>Nad rzeką Housatonic</i>	70
<i>Samarytanka</i>	72
<i>Ogrodnicy</i>	73
<i>Przepis sanitarny</i>	75
<i>Zegary</i>	77
<i>Ballada naszych czasów</i>	78
<i>Matka bolesna</i>	79
<i>Self-pity</i>	80
<i>Katedry romańskie</i>	81
<i>Piknik</i>	83
<i>Epitaphium</i>	84
<i>Strachy</i>	85
<i>Alleluja</i>	86
<i>Przerażony</i>	87
<i>Na śmierć Broniewskiego</i>	88
<i>Zasypywanie morza Śródziemnego</i>	90
<i>Epoka elektrowni</i>	91
<i>Powieść o śniegu</i>	94
<i>Siemiony</i>	96
<i>Kufer</i>	98
<i>Wiśła i wyspa</i>	100

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 FEVRIER 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1964

Biblioteka PAN
Körmik

21. CZER. 1977

V. 189

7,50 F (dol. 1,75; 11/6)

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001013955524